TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II. Nr.22 /30/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 28.V.1942

Maj w Narviku.

/Na podstawie materiałów Wojskowego Biura Historycznego./

Dwa lata mija od dnia, w którym żegnaliśmy na defiladzie w Coetquidan Brygadę Podhalańską, odjeżdżającą na dalekie fiordy Norwegii. Nikt z nas podówczas nie znał dokładnie terenu, na którym padnie pierwszy strzał żołnierza nowej Armii Polskiej we Francji, nie orientowano się w charakterze manewru inwazyjnego ale gdy przy dźwiękach narodowego hymnu zaczęły podchodzić pod trybunę Naczelnego Wodza zwarte szeregi Podhalańczyków - wszystkim zabiły serca żywiej i goręcej. Żywiej z dumy, że właśnie Polacy idą pierwsi w ogień, goręcej - przez wspomnienie Pól Mokotowskich, tonących w kwiatach i sztandarach.

Żeby zrozumieć nastrój kwietniowego dnia, w którym serca polskie biły żywiej i goręcej - należy się cofnąć w ową epokę, dziś już historyczną i zamgloną błyskawicznym pochodem wypadków wojennych. Po dziesięciu miesiącach "drole de guérre" i bezpłodnego patrolowania na linii Maginota Norwegia staje się pierwszym frontem na którym Francuzi i Anglicy spotykają się ponownie z bronią w ręku z Niemcami od 1918 roku. Norwegia jest pierwszą orężną próbą demokratycznego bloku państw i zarazem pierwszą okazją zamanifestowania światu, że Armia Polska istnieje i walczy. Norwegia to dobitne potwierdzenie naczelnej tezy polityki polskiej, że wojna w 1939 roku narzucona Polsce przez Niemców jest wojną nie o polskie granice, lecz o byt wolnych narodów. Na froncie zatem norweskim nie może zabraknąć żołnierza polskiego. I nie zabrakło go. Wielka Brytania i Francja decydują się na wysłanie w pomoc Norwegom korpusu ekspedycyjnego,w którego skład miała wejść zbiorowa lekka dywizja francusko-polska.

Polska Samodzielna Brygada Podhalańska weszła w skład tej dywizji pod dowództwem generała brygady Szyszko-Bohusza. Dowódcą dywizji był generał francuski Bethouart. Poza brygadą polską pod jego dowództwem znalazły się: Brygada Legii Cudzoziemskiej i Brygada Strzelców Alpejskich.

W dniach 22 i 23 kwietnia Brygada Podhalańska ładuje się na statki w porcie Brest a 7 maja osiąga port Harstad w północnej Norwegii.

Pierwsze zadanie po wyładowaniu polega na zapewnieniu bezpieczeństwa wyspy Hanoy i fiordów Salangen i Balangen . Chodzi o obronę tego rejonu przed desantami lotniczymi i morskimi. Odrazu więc oddziały brygady zostały rozrzucone na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów. Przez trzy dni cała brygada pełni służbę patrolową w wyznaczonym rejonie i zasługuje sobie na uznanie generała Berthouart. Druga półbrygada pozostała w tym rejonie około 10 dni, poczem przeszła do rejonu Tjebiten, Balangen i Anves, trzeci Batalion do końca kampanii pozostał w Balangen i był silnie bombardowany z powietrza. 11 maja jeden z batalionów brygady przeprowadza pierwsze większe działanie bojowe. Jest to II Batalion, który zostaje przerzucony barkami do portu Lenvik i stamtąd marszem pieszym do Bjervik - niezwykle trudną trasą górską. II Batalion osłania swym ruchem desantowe działanie Legii Cudzoziemskiej na Bjervik. Działanie jako całość udaje się doskonale. Bjervik jest opanowane wieczorem 11-go maja. II Batalion pozostaje tam do 14 maja, trzymając biernie półwysep Oijord i utrzymując łączność z Brygadą Strzelców Alpejskich w rejonie Joegtvik. Jednocześnie pozostałe bataliony brygady / III i IV/ biorą do niewoli samolot niemiecki oraz kilka łodzi z załogami w rejonie Balangen-Tjelboten.

Dnia 16 maja I półbrygada zostaje przerzucona na półwysep Ankenes i luzuje XII Batalion Strzelców Alpejskich oraz XXII Batalion Gwardii angielskiej na pozycji w styczności z obroną niemiecką rejonu Narvik. Luzowanie odbywa się w dzień bez strat, mimo ognia niemieckiego z bliskiej odległości. W niektórych częściach obejmowanej pozycji okopy niemieckie są zaledwie o 150 metrów. Odcinek półbrygady ciągnie się od Ankensfjord do Harkausen, razem około 12 km. Teren pozycji jest wybitnie górski. Niemcy na odcinku są bardzo aktywni. Oddziały niemieckie to doborowe oddziały strzelców tyrolskich, doskonale wyekwipowane i uzbrojone. Same miasta Ankenes, Narvik i Bejsfjord są silnie obsadzone i umocnione. Gniazda karabinów maszynowych zainstalowane nawet na wrakach zatopionych pod Narvikiem okrętów.

Po zjawieniu się nowego żołnierza przed ich frontem Niemcy zdwajają aktywność swych patroli i wypadów. Chcą wybadać wartość Podhalan i wymusić sobie należyty respekt, licząc głównie na to, że żołnierz polski jest żołnierzem młodym, jeszcze nie ostrzelanym. Zapominają jednak o rutynie kadr oficerskich i podoficerskich. Już w pierwszych starciach okazuje się, że polski żołnierz jest zajadły i rwie się do bitwy. Ten zapał żołnierza polskiego jest nawet przyczyną dość poważnych strat, lecz jednocześnie ostudza Niemców.

Pluton porucznika Szaszkiewicza z II Batalionu wysuwa się w czasie wypadu w kierunku na Ankenes tak daleko naprzód, że następnie zostaje odgrodzony ogniem niemieckich karabinów maszynowych. Zdawało się, że pluton przepadł. Po 13 godzinach zaciętej walki na miejscu i po odrzuceniu kilku przeciwuderzeń niemieckich, pluton jednak wycofał się pod osłoną ognia moździerzy II Batalionu i plutonu przydzielonej artylerii angielskiej. Na placu zostało 5 zabitych z tego plutonu.

I.półbrygada w następnych dniach prowadzi energiczne rozpoznanie pozycji niemieckich a zmotoryzowany pluton zwiadowców porucznika Jerzego Łady-Łobarzewskiego dokonuje dnia 18 maja niezwykle śmiałego wypadu na miasto Ankenes. Porucznik Łobarzewski wpada niespodzianie do środka miasta, nie trafiając na opór i następnie, po zebraniu potrzebnych wiadomości o umocnieniach w Ankenes i o rozmieszczeniu broni maszynowej, wspierającej obronę Ankenes z przeciwnej strony fiordu - wraca do półbrygady z dumą, że jest zdobywcą Ankenesu. Poza tym liczne patrole i wypady umożliwiają dowództwu półbrygady dokładne ustalenie rozmieszczenia sił niemieckich na całym jej froncie.

W dniu 26 maja dowódca I-ej półbrygady płk.dypl.Benedykt Chłusewicz wydaje rozkaz do ogólnego natarcia w dniu 28 maja. II Batalion naciera w kierunku Ankenes-Noborv-Lingenes, I Batalion terenem górzystym na Bejsfjord. Całość natarcia wspierają dwie baterie - jedna angielska, jedna francuska. Zadaniem półbrygady jest odcięcie Niemcom odwrotu z Narviku na południu. Na Narvik od północy i północnego-zachodu naciera Legia Cudzoziemska.

II Batalion po 30 godzinach walki zdobywa kolejno Ankenes, Bybork i Lingenes, ponosząc straty: 43 zabitych, 76 rannych i 5 zaginionych. Niemcy stawiali rozpaczliwy opór. Na pobojowisku naliczono ponad 200 zabitych.

W tym samym czasie I-y Batalion, po wykonaniu niezwykle trudnego manewru przez grzbiet górski, opanowuje Bejsfjord, co umożliwia Legii Cudzoziemskiej uchwycenie północnego skraju Narviku, poczem mimo przemęczenia i fatalnej pogody rusza w dalszym ciągu do natarcia 30 maja o godz. 4-ej rano. Zadymka ogranicza widoczność na kilka metrów, co ogromnie utrudnia działanie w terenie górskim. Około południa batalion ten dostaje się nagle w silny ogień karabinów maszynowych z bliskiej odległości. Słychać głośne nawoływania po francusku. Zdezorientowani dowódcy nakazują przerwać ogień i ruch naprzód, sądząc, że mają już przed sobą oddziały Legii Cudzoziemskiej, która dąży do zamknięcia pierścienia dokoła Narviku. Mgła i śnieżyca nie pozwalają na rozpoznanie wzrokowe. Po godzinie okazuje się, że był to jedynie fortel Niemców dla zyskania czasu i że zdołali oni w ten sposób oderwać się od brawurowo nacierających Polaków.

W nocy z 30/31 maja przychodzi niespodziewany rozkaz dowództwa alianckiego, nakazujący przerwanie natarcia. 31 maja brygada dowiaduje się, że ma w ciągu 6 dni opuścić Norwegię i odpłynąć niepostrzeżenie do Francji. Wymaga tego dramatyczne położenie na froncie flandryjskim.

Całokształt działań bojowych brygady zakończony zwycięstwami pod Ankenes, Nyborg i Bejsfjord, uzyskał bardzo wysoką cenę u dowództwa francuskiego. Generał Bethouart, dowodzący polsko-francuską dywizją lekką, operującą pod Narvikiem, uznał oficjalnie w rozkazie dziennym pierszeństwo zasług bojowych żołnierza polskiego przed wszystkimi oddziałami wojsk francuskich.

-

Znów zawitał maj nad śnieżne fiordy a z nim wspomnienie o brygadzie strzelców z egzotycznej Polski, którzy przybyli walczyć za wolność "naszą i waszą". Nocą potajemnie zjawiają się kwiaty na grobach tych, których gościnna ziemia norweska przyjęła na zawsze w niemej podzięce za żołnierski trud i ofiarę krwi. Wieśniacy z pod Balangen, Ankenes i Narviku mają dobrą pamięć i patrzą często na drewniane krzyże z niezrozumiałymi dla nich napisami "poległ na polu chwały". Patrzą i myślą o tamtych, co odjechali - by wrócić.

Jerzy Tepa

- -

Nakładem "Rój in Exile" ukazał się nowy zbiór wierszy Kazimierza Wierzyńskiego pod tytułem: "Róża wiatrów". Skład główny: Polish Book Importing Co.Inc., 38 Union Square, New York, N.Y.

Cena wraz z przesyłką: $ 1.25.

W następnym numerze ukaże się recenzja o nowym tomie poezji Kazimierza Wierzyńskiego - pióra Zenona Kosidowskiego.

W y g n a ń c y.

Otwarcie Instytutu Naukowego w Nowym Yorku bardziej niż więk - szość uroczystości emigracyjnych, w których uczestniczyliśmy w Paryżu i tu w Ameryce, dało nam odczuć niezwykłość, wielkość i tragizm naszego losu.

Pamiętam piękne, niektóre bardzo piękne chwile w Bibliotece Polskiej w Paryżu w owych drogich nam pokojach, które słyszały kroki Niemcewicza i księcia Adama, głos Mickiewicza, śmiech Szopena. Ale Biblioteka Polska jak przez długie lata niewoli tak też i w wolny czas powojenny była zawsze prawdziwym ogrodem owych polskich czarów, ani na chwilę nie przestawała nam przypominać minionego piękna i bohaterstwa, to też nowa emigracja wchodząc w jej progi nie mogła odczuć nic niemal, czegoby przedtem w tych salach nie czuła. A może nawet owe wielkie cienie, padające od przeszłości kazały nam przedewszystkiem porównywać przeszłość i nas samych i patrząc po sobie mówić, że niema między nami Mickiewicza ani Szopena ani Lelewela ani Kniaziewicza ani księcia Adama.

Mała salka, w której Instytut Naukowy odbył pierwsze swe, przed uroczystym, posiedzenie - ma urok niezwykły, w Nowym Yorku aż egzotyczny, chciałoby się powiedzieć - paryski. Jest tak mała, że niewątpliwie stanie się to bez trudu, że zawsze będzie w niej pełno, nawet tłoczno, że jak w Akademii Francuskiej publiczność będzie ocierała się o mówców, że jak w Parlamencie angielskim, zawsze część obecnych będzie stojąc uczestniczyła w obradach i jak w Paryżu i Londynie będą ludzie tem skwapliwiej dobijać się o miejsce. Są to błahe rzeczy, ale każdy kto wie, że najtrudniejszą ze wszystkich rzeczą jest wytworzenie nastroju, skupienia,współodczuwania obecnych zrozumie ile może Instytutowi dopomóc ten urok sali i nieuchwytny poetyczny wdzięk, jakim są osnute. W Paryżu było tyle sal czcigodnych, tyle pamiątek, tyle wspomnień, tyle przeszłości - że czasami nie podnosiły one myśli, ale ją przytłaczały, budziły nie twórcze zamyślenia, ale snobistycznie jałowy zachwyt. Tutaj w Nowym Yorku, gdzie dom czterdziestoletni uchodzi za stary i tem samem przestarzały, gdzie jedynym urokiem jest urok nowości, salka Polskiego Instytutu Naukowego zdaje się nam być odnalezionym kawałkiem naszego życia, częścią naszego świata; w niej wreszcie, jak nigdzie gdzieindziej, czujemy się sobą. Poraz pierwszy też bodaj od przyjazdu przed rokiem bezmała do Stanów Zjed. patrząc na zgromadzonych na posiedzeniu Instytutu senatorów naszej wiedzy, słuchając ich mów żadną przelotną koniunkturą nie dyktowanych, mimo całej niemożliwości porównania nas z Wielką Emigracją Listopadową, poczułem, że jesteśmy przecież jej dziedzicami, że przedstawiamy kulturę,której blask w Złotym Wieku i w czas romantyczny szedł na pół Europy, że mamy przed sobą wielkie zadanie, a przeliczywszy się dobrze, możnaby powiedzieć, że jesteśmy zdolni je podjąć.

Było na kogo patrzeć, możnaby powiedzieć było na co patrzeć,kiedy w pewnej chwili w półmroku rembrandtowskim sali, oświetleni przez blade światło lampy siedzieli przy prezydialnym stole: Bronisław Malinowski o wspaniałym renesansowym profilu, wyrażającym zarazem powagę i ludzkość wiedzy, prof.Halecki istny kardynał El Greca czy Tintoretta i premier Kucharzewski, który gdyby powrócił do swych dawnych sumiastych wąsów,byłby pysznym portretem któregoś z naszych wielkich kanclerzy XVII wieku. I doprawdy, że to było wrażenie nietylko malarskie czy antropologiczne, że wyrażało ono i uświadamiało nam coś bardzo istotnego, a mianowicie rasę i najwyższy poziom naszej kultury, naszego narodu, mówiło nam o owych nielicznych Polakach, przodujących narodowi, niosących blask pols-

kości zagranicę i mających ten blask w oczach, tą świetność w twarzy i postawie.

Premier Kucharzewski nietylko że rzeczach rosyjskich jest specjalistą, jakiemu równego niema bodaj poza Rosją, nietylko jako badacz w tej dziedzinie jest najwyższym autorytetem i swego rodzaju instytucją; jest on ponadto, o czem mało Polaków wiedziało, najświetniejszym żyjącym mówcą polskim innego rodzaju ale tej samej klasy, jaką błyszczeli Paderewski i Daszyński. Prawdziwy sybarytyzm, prawdziwa pańskość unikają zawsze poklasku jako fatygi i niewoli; pod tym względem w naszym życiu politycznym i kulturalnym premier Kucharzewski był zawsze największym epikurejczykiem. Nie zapomnę moich starań, aby ściągnąć go do Paryża na odczyt w sławnej serii "Conférences des Ambassadeurs", gdzie przemawiały największe asy francuskie i zagraniczne:Churchill, Herriot, Raynaud,którym trzeba było przeciwstawić równej klasy polskiego mówcę. Nie pomogły żadne prośby i zaklęcia, żadne tłumaczenie, że naprawdę niema w Polsce nikogo, ktoby to zadanie mógł godnie spełnić. Premier Kucharzewski tak pozostał nieznany Paryżowi, jak w Polsce znany był tylko rzadkim szczęśliwym, wiedzącym że mamy w jego osobie jeden z najrzadszych fenomenów - połączenie największej erudycji z najwyższym polotem wymowy.

Odczyt, do którego pretekstem było rozważanie stosunku parlamentu frankfurckiego do sprawy polskiej, stał się dla większości słuchaczów prawdziwym objawieniem, że takie połączenie jest wogóle możliwe. Premier Kucharzewski, stanąwszy sobie przy stole "jak gdyby nigdy nic", nie mając żadnej kartki w ręce, która raz poraz jakby szukała słuckiego pasa, aby się za niego zatknąć wygodnie, przez półtorej godziny niemal mówił nietylko bez jednego zająknięcia, bez jednego nawrotu, ale bez zapomnienia jednego słowa z niezliczonych cytat prozą, bez jednego zastanowienia przed datą, bez jednej omyłki w wierszu francuskim, niemieckim, rosyjskim, które cytował bez końca. Wszystko w tej mowie było najściślejszą nauką, najbardziej rzeczywistym faktem i wszystko zarazem drgało od współczesności, tłumaczyło czas dzisiejszy, wszystko stawało się słowem żywym, pięknym, polskim, tak panującym nad słuchaczem, że kiedy mówca po godzinie przeszło swej oracji zapytał nas, czy może jeszcze mówić przez kwadrans, wszyscy niemal zapytali się, jak obudzeni z najpiękniejszych myśli:"jak to? to już?". I kiedy kończąc swą mowę, wiedziony nie przepisem oratorskiej sztuki, ale ogarniającym go i coraz więcej podnoszącym wzruszeniem powiedział parę linii z "Anhellego" tak pięknie jak tylko kiedyś Marszałek Piłsudski nad trumną Słowackiego zadeklamował zwrotkę z "Wacława", przeszedł po nas wszystkich dreszcz, jaki budzą tylko wielkie historyczne, łączące cały Naród chwile. W tej chwili poczuliśmy się wdzięcznymi braćmi naszych żołnierzy, wygnańcami z najbardziej bohaterskiego wielkiego kraju i dziećmi Wielkiej Emigracji.

Od stołu prezydialnego podniósł się wtedy Bronisław Malinowski, na którego raz poraz patrzałem, gdy słuchał swego poprzednika i widziałem że on właśnie słucha go ze szczególnym przejęciem, że na każdy zwrot wzruszający odpowiada wzruszeniem, że na jego pysznej twarzy malują się jakieś myśli najgłębsze, najbardziej osobiste i nie mogłem się mylić, Conradowskie uczucia.

W paru słowach wypowiedzianych z trudem, hamowanych przez wzruszenie wielki uczony, chluba wiedzy światowej, lord angielskiej nauki, podziękował swemu koledze za jego mowę taką właśnie, jaką była, tak polską, tak porywającą, powiedział, że Polski Instytut Naukowy jest szczęśliwy, że tą mową właśnie otwiera swą działalność.

Następnego dnia na uroczystem posiedzeniu spotkawszy Wierzyńskiego, serdecznie mu dłoń uścisnął i powiedział:"No,panie, jeszcze rok tu-

taj, a potem wszyscy wracamy do Polski."

W parę godzin potem już nie żył.

Jego śmierć w chwili, gdy coraz bardziej powracał myślą do przed wielu laty opuszczonego kraju, gdy swoje wspaniałe nazwisko oddawał hojnie i skwapliwie każdej polskiej pracy, gdy otoczony miłością nowych polskich przyjaciół stawał się prawdziwym "primus inter pares" naszej elity gdy był już ambasadorem polskiej kultury, zdolnym tyle zdziałać wśród anglosasów powagą swego nazwiska, zrozumieniem zarazem ich świata i naszej duszy - śmierć ta dziś właśnie jest stratą, której wagi napewno w tej chwili nie doceniamy, ale która zaciąży jeszcze nieraz nad polską sprawą zwłaszcza, gdy będzie mowa o przyszłym układzie Europy. Ale poza społeczną ogólną stratą, którą ponosimy, odejście Bronisława Malinowskiego jest, po ludzku biorąc, wydarzeniem głęboko przejmującym, z którego bije tragizm Conradowski, dobywa się długo tłumione westchnienie polskiego tułaczego przeznaczenia.

Malinowski jak Conrad, jak pani Curie wyszedł z Polski zduszonej zgnębionej na świat szeroki, w wielkie powietrze, ażeby czynić wielkie rzeczy, ażeby móc się wypowiedzieć w pełni. Jak Conrad, jak pani Curie osiągnął szczyt swych marzeń, doszedł do najwyższego mistrzowstwa w swych pracach, zyskał sławę światową, stał się chlubą swojej ojczyzny. Ale kto czytał ostatnie kartki cudownej książki Ewy Curie o jej matce, a zwłaszcza wstrząsający list pani Curie o Wiśle, pisany do Ewy z Warszawy, kto pamięta uczucie przeraźliwej i naiwnej obcości, z jaką poczciwa pani Jessie Conrad pisała o swym mężu, jako o niepojętym źle mówiącym po angielsku cudzoziemcu, ten nie łudzi się chyba, jaką ceną okupuje się, albo może jaką ceną Polacy okupują te zwycięstwa.

I dlatego słowa Bronisława Malinowskiego, powiedziane w dzień jego śmierci powinny stać się jego tragicznym wezwaniem, abyśmy odbudowali Polskę tak piękną, tak bogatą, tak wspaniałomyślną, aby nigdy już żaden Polak nie musiał szukać poza nią wielkości i swobody. I z głębokim wzruszeniem, myśląc o jego losie, powtarzajmy za nim wszyscy:

"Jeszcze jeden rok tutaj, a potem wszyscy do Polski".

Jan Lechoń

Kazimierz Leczycki.

"Z Kujbyszewa donoszą, że w listopadzie ub. roku, na dziesięć dni przed zwolnieniem z obozu, zmarł literat polski, Kazimierz Leczycki".

To nie było tak dawno. Jeszcze przed oczyma
Stają dzisiaj, jak żywe, postacie i twarze.
To nie było tak dawno, kiedy pierwsza zima
Otuliła swym śniegiem rozpacz naszych marzeń.

To nie było tak łatwo przy Moście Zielonym
Znów rozpocząć udrękę generalnej próby,
Gdy co drugi przechodzień przystawał zdziwiony
W gazeciarzu poznając autora "Sztuby".

To nie było tak proste odmierzać godziny
W labiryncie zaułków, lub ukrywać w zmierzchach,
I zamienić radosne niebo Argentyny
Na biedne, "Miłe miasto", w którem smutek mieszka.

Dzisiaj w cieniu zaułków tłum zmarłych się zbiera,
Gdy na Górze Zamkowej śpi warta niemiecka -
Jest już z nimi obdarty, wileński literat,
Który w oczach swych nosił jasną duszę dziecka.

Otwierają kościoły i budzą organy,
Przyzywają poległych z dalekich pól bitwy,
Poczem jeden z kapłanów w Wilnie rozstrzelanych
O północy odmawia tajemne modlitwy.

Z mroków trwoga wypełza i w sercach się tłucze,
Dławi gardła niemieckie i na piersi spada,
A Kazimierz Leczycki zardzewiałym kluczem
Otwiera wówczas cicho drzwi celi Konrada.

Ryszard Kiersnowski

Szczupaki i płotki.

Rozmaici politycy, ekonomiści, uczeni, dziennikarze nie szczędzą nam rad i przestróg, w najlepszej wierze udzielanych a naszej przyszłości dotyczących. Obrazowo tłomaczą, że grozi nam los płotek, zmuszonych przebywać w najbliższem sąsiedztwie szczupaków. Niebezpieczeństwo takie jest wspólne Polakom, Czechom, Słowakom, Austriakom, Węgrom, Rumunom, Serbom, Kroatom etc, etc. Stąd wniosek logiczny, uzasadniany sytuacją geograficzną, że wspólna powinna być też i obrona. Należy w tym celu połączyć się, tworząc z naszych krajów jeden, zbiorowy organizm państwowy. Sami staniemy się wówczas szczupakami . I będzie spokój.

Rozumowanie to wydaje się tak proste i słuszne, że musi wprowadzać wielką dozę optymizmu do frasobliwych z konieczności myśli o powojennem jutrze naszem. Po niejakim czasie nasuwają się jednak pewne wątpliwości i zastrzeżenia. A co poczną wtedy prawdziwe szczupaki? Czy wskutek pojawienia się "sfederowanego" szczupaka wyzbędą się one swoich przyrodzonych upodobań i wielowiekowych nawyczek? Sceptycyzm podpowiadał jeszcze inne refleksje i pytania. Dlaczego środkowo-amerykańskie płotki - Honduras, Gwatemala, Nikaragua, Ekwador etc, etc.- żyją bezpiecznie w bliskości tak olbrzymiego szczupaka, jakim są Stany Zjednoczone, które, pomimo swojej bezsprzecznej potęgi, padły ofiarą napaści japońskiego szczupaka?! Czy rosyjski szczupak nie uległ bolesnemu nadgryzieniu go przez niemieckiego szczupaka? Kto dzielniej walczył z nazistowskim szczupakiem - francuski szczupak czy polski okoń, zaatakowany równocześnie i przez rosyjskiego szczupaka?

Jaki stąd wniosek? Taki, że układanie z płotek federacyjnego puzzle'a w postaci jeszcze jednego szczupaka powinno wprawdzie okazać się bardzo celową i skuteczną formą samoobrony, ale że nie może to być nigdy ani wystarczającym ani, zwłaszcza, niezawodnym sposobem utrwalenia pokoju. Zgodne współżycie sąsiedzkie wymaga obustronnego porozumienia,

obustronnej lojalności, obustronnych zobowiązań. A już tembardziej, kiedy geografia narzuca płotkom bezwzględny mus współżycia sąsiedzkiego z prawdziwymi szczupakami. Przecież Austrii, Czechosłowacji, Polsce, Grecji, Jugosławii nigdy do głowy nie przychodziła myśl najazdu na Niemcy. Nikt nie zamierzał sprowadzić Rzeszy do poziomu "Protektoratu" lub "Generał-Gouvernement". Każda społeczność ma prawo a nawet bezwzględny obowiązek unieszkodliwienia zbrodniarza. Minimum nieodzownej samoobrony jest w takim wypadku nałożenie przestępcy, choćby i przemocą, kaftanu bezpieczeństwa.

Utarło się powiedzenie, że wojna dzisiejsza obfituje w rewelacje wszelkiego rodzaju i że nieuniknioną jej konsekwencją będzie przewrót w każdej dziedzinie życia państwowo-narodowego. Należy przeto podjąć zawczasu prace, teoretycznej chwilowo natury, których jednak celem byłoby ujęcie późniejsze tych przewrotów i rewelacji w łożysko produkcyjnej twórczości. Geniusz człowieka zdołał wszak opanować żywiołową potęgę wodospadu Niagary i narzucić jej czynności pożytecznej siły pędnej. Ale koniecznym warunkiem wtedy jest istotne zabezpieczenie się przed destrukcyjnemi własnościami takiej potęgi. Od tego m u s i być zaczęte planowanie jakiejkolwiek akcji w kierunku oparcia naszego życia po wojnie na prawdziwym ładzie i nieco trwalej ustabilizowanym pokoju.

Chwilami odbiera się wrażenie, że rewelacyjny charakter obecnej wojny jeszcze nie jest dosyć mocno i wyraźnie pokazany w jego potwornej grozie. Jeszcze świat widocznie za mało wie o wszystkich zbrodniach niemieckich, już popełnionych w okupowanych krajach. Jeszcze nie zdaje sobie należycie jasno sprawy z tego, jak straszliwe byłyby dla c a ł e j ludzkości skutki pozostawienia Niemcom swobody działania w przyszłości. Jeszcze chyba niedostatecznie poinformowany jest o wyrafinowanie sadystycznem okrucieństwie Gestapo, o zbrodniczych metodach walki z chrześcijaństwem, o masowych morderstwach, zwyrodniałych gwałtach, bandyckich grabieżach. Chwilami odbiera się wrażenie, że świat już nie pamięta przeszłości. Nie pamięta, że gangsterstwo już w średniowieczu było zawodowo uprawiano przez niemieckich rycerzy, dlatego nawet zwanych "Raubritter'ami". Nie pamięta, że wsławieni swem nikczemnem wiarołomstwem Krzyżacy już mieli niemiecką czelność podawania się za misjonarski zakon religijny. Nie pamięta już wcale, że Fryderyk był pruskim królem, że Bismarck był niemieckim kanclerzem, że Wilhelm II był niemieckim cesarzem.

Odbiera się chwilami wrażenie, że sumienie świata cywilizowanego nie zostało jeszcze wstrząśnięte dosyć silnie i dosyć głęboko rzeczywistym ogromem niemieckich zbrodni. Że instynkt samozachowawczy świata nie zareagował jeszcze w sposób właściwy na śmiertelne niebezpieczeństwo, grożące z niemieckiej strony całej ludzkości cywilizowanej.

Projekt "kooperatywy płotek" od Bałtyku do Adriatyku jest doskonały pod warunkiem, że jego apostołowie wystąpią równocześnie z konkretnym planem faktycznego unieszkodliwienia szczupaka niemieckiego.

<u>Zygmunt St. Klingsland</u>

<u>O b i e c u j ą c e   z j a w i s k o.</u>

Uświadamiamy sobie coraz wyraźniej, że wojenna emigracja polska w Stanach Zjednoczonych ma do spełnienia wielkie obowiązki narodowe, które powinny stanowić skromne wprawdzie, ale konieczne dopowiedzenie naszego wysiłku zbrojnego. Uchodźtwo polskie składa się przeważnie z przedstawicieli naszej kultury, a więc z profesorów uniwersytetu, pisarzy,

dziennikarzy i artystów. Byłoby rzeczą niewypowiedzianie przykrą, gdyby chroniąc się do Stanów Zjednoczonych, poczytywali to wyłącznie jako szczęśliwy traf fizycznego ocalenia, a nie za nakaz służenia narodowi, w warunkach intelektualnej i moralnej swobody. Kultura polska w kraju narażona na unicestwienie, domaga się rekursu, choćby w postaci odblasku jej bogactwa i żywotności tu na wygnaniu. Dziś wiemy już, że nie jest to tylko nakazem patriotyzmu, opartym na czemś głębszym, lecz przedewszystkiem podstawowym postulatem racji stanu, abyśmy wobec obcych, którzy najczęściej o narodzie polskim niesprawiedliwe mają wyobrażenie, dali świadectwo bogactwa, dojrzałości i skali naszego dorobku duchowego. Jesteśmy zapewne pilnie obserwowani i od naszego wysiłku niemało zależeć będzie, czy w chwili kształtowania powojennego świata Polska stanie w pełnym blasku swej prawdziwej wartości, jako naród o wielkich zasługach dla postępu ludzkości, a nie w deformujących oparach ignorancji i krzywdzących uprzedzeń. Sądzę, że właśnie tu, na terenie Stanów Zjednoczonych praca nad pełnym ujawnieniem, czem jest naród polski naprawdę - ma znaczenie olbrzymie, gdyż niewątpliwie tu będą formułować się powojenne decyzje polityczne.

Tymczasem sprawa bynajmniej nie wygląda dotąd pocieszająco. Pilny czytelnik prasy, a szczególnie różnych magazynów amerykańskich, spotyka się zbyt często z przemilczaniem Polski, które ze względu na jego lekceważący charakter jest dla nas i upakarzające i bolesne. Ostatnio np jeden z uniwersytetów postanowił urządzić całoroczny kurs, mający za zadanie zapoznanie młodzieży amerykańskiej z nauką, filozofią i literaturą europejską. Podkreślono wyraźnie, że kurs ten ma przygotować Amerykanów do politycznych problemów Europy w przyszłych układach pokojowych. I oto czytając program tego olbrzymiego kursu, w którym wezmą udział jako wykładowcy najwybitniejsi przedstawiciele nauki, daremnie szukałem choćby jednego wykładu o kulturze polskiej, choćby jednego polskiego nazwiska wykładowcy. Organizatorzy widocznie uważali, że Polska w dziedzinie europejskiego wysiłku duchowego zgoła była nieobecna. Czy tego rodzaju liczne objawy mamy poczytywać wyłącznie za wyraz nieświadomości? Istnieją poszlaki, że obok ignorancji Amerykanów, nie pozbawionych jednak dobrej woli i poczucia sprawiedliwości, walny udział w tym pomijaniu mają wpływy elementu niemieckiego, które snują się podziemnymi korytami w intelektualnym życiu Stanów Zjednoczonych. Zbyt żywo przypomina to odwieczną niemiecką metodę "todtschweigen".

Propaganda w sprawach naszej bieżącej polityki, a przedewszystkiem chlubnego udziału w wojnie, dokonała rzeczy znamienitych i to w warunkach niesłychanie ciężkich i skomplikowanych, o których może sobie wyrobić pojęcie tylko ten, kto poznał teren Stanów Zjednoczonych. Niema tygodnia, by na łamach któregoś pisma nie ukazały się fotografie, notatki o walce podziemnej w Polsce lub artykuły o wojsku polskim. Dziś już z rosnącym szacunkiem mówią Amerykanie o oporze Polski w wrześniowej potrzebie. Czas jednak, by rozbudować tę drugą dziedzinę naszej propagandy, bardziej dalekowzroczną i głębiej sięgającą w teren, a dążącą do tego, by opinia amerykańska uświadomiła sobie, że Polacy to nietylko bohaterowie i dzielni żołnierze, lecz że przedewszystkiem należą do narodu starego i wysoce kulturalnego, twórczo pomnażającego dobra duchowe ludzkości. Nietylko bowiem możemy pochwalić się nauką, literaturą i sztuką. jak Niemcy, ale przedewszystkiem tem, czem o niebo nad nimi górujemy, że nasza twórczość duchowa nie stanowi oderwanego od społeczeństwa egzotycznego kwiatu, lecz że idee najwyższe, przez twórczość artystyczną i naukową wytwarzane, wnikały głęboko w strukturę etyczną narodu i stały się jego najserdeczniejszą własnością, że właśnie przez to naród polski jest jednym z najbardziej kulturalnych narodów świata. Ta praca nad budową

autentycznego obrazu Polski w świadomości sfer amerykańskich jest nieodzowna, abyśmy na konferencjach pokojowych nie marnowali energii w zmaganiu się z różnymi uprzedzeniami kontrahentów. Polska musi wejść na salę obrad otoczona nietylko szacunkiem dla jej bohaterskich zasług orężnych, lecz przedewszystkiem z nimbem jednego z najcenniejszych członków świata cywilizowanego, którego misja nie jest przez nikogo podana w wątpliwość.

Czeka więc nas zadanie gigantyczne, tem bardziej że czas nagli. Jest to praca niesłychanie skomplikowana, pełna finezji, której nie podołają zwykłe metody informacyjno-propagandowe. A właściwie słowo propaganda jest tu zupełnie nie na miejscu. Chodzi bowiem o rzetelne udostępnienie inteligencji amerykańskiej wartości naszej kultury, a raczej ujawnienie całego bogactwa i dostojności naszej cywilizacji. Aby Polska w oczach naszych przyjaciół nie uchodziła za kraj pogrążony gdzieś na krańcu Europy w zacofaniu. A takie niestety jest jeszcze mniemanie wielu Amerykanów.

Nasza kultura przeto, nasza historia, literatura, sztuka, muzyka, nauka i polityczna etyka - oto dziś najskuteczniejszy szermierz sprawy polskiej. Do tej służby należałoby powołać wszystkich uczonych, pisarzy i artystów, którzy znajdują się obecnie w Stanach Zjednoczonych. Każdy z nich powinien jak żołnierz w boju mieć swój określony przydział, by z powodzeniem mógł wypełnić zadania. Nie jest moją sprawą zastanawiać się tu nad formą tej zorganizowanej akcji. Jest jednak pewne, że rolę zasadniczą mieć będą przedewszystkiem odpowiednio przystosowane wydawnictwa oraz dobre przekłady niektórych dzieł naszej literatury. Wyobrażam sobie, że pod auspicjami naszego przedstawicielstwa oficjalnego możnaby zorganizować dla Amerykanów, szczególnie dla sfer politycznych i naukowych instytucji cykl wykładów o Polsce z udziałem naszych wybitnych uczonych, cykl objazdowy, docierający do najważniejszych ośrodków amerykańskich. Pozatem należałoby baczniejszą uwagę zwrócić w kierunku nawiązania ściślejszych kontaktów towarzyskich ze sferami intelektualnymi Ameryki, szczególnie przez organizacje uczonych i pisarzy.

Nie chciałbym na siebie ściągać podejrzenia, że usiłuję wybijać otwarte drzwi. Wiem dobrze, że sprawom tym czynniki nasze poświęcają dużo uwagi. Nasi uczeni, rozsiani po różnych uniwersytetach amerykańskich pełnią cichą, ale niezwykle owocną służbę dla sprawy polskiej. Wychodzą już, albo są w przygotowaniu dzieła propagandowe w rodzaju "The great men and women of Poland" które, jakkolwiek grzeszy mylnym założeniem kompozycyjnym, jest przecież cennym nabytkiem naszej propagandy. Chodzi mi o to, by rytm tej akcji rósł w nasilenie, by przez przewidujące planowanie wyzwolić ją z niedomagań sporadyczności. A wreszcie, by pogłębiało się zrozumienie, że kultura polska jest naszym najlepszym atutem propagandowym.

Z tym większą radością obserwujemy mnożące się ewenementy polskiego życia kulturalnego na emigracji w Stanach Zjednoczonych. W ostatnich tygodniach byliśmy świadkami i współuczestnikami szeregu niesłychanie doniosłych i pamiętnych uroczystości, jak koncert Małcużyńskiego w Carnegie Hall, wystawy polskiego malarstwa, tydzień polski w Interalliance House, uroczystość z okazji ukazania się tomu poezji Kazimierza Wierzyńskiego w Bibliotece Publicznej przy Tompkins Square, a nadewszystko pełna dostojnej powagi inauguracja Polskiego Instytutu Naukowego. Są to zjawiska obiecujące, świadczące, że kultura polska na emigracji odzyskuje swoją niezniszczalną żywotność, że jej przedstawiciele z rosnącą energią spełniają swoje najistotniejsze posłannictwo służenia krajowi.

Zenon Kosidowski